

Edward Popielski przeszedł przez małą ślepą uliczkę Przeskok na podwórko półokrągłej pięknej kamienicy Pod Złotym Słońcem. Było ono otoczone ze wszystkich stron domami, z których jeden – podparty tu i ówdzie drewnianymi słupami – był przeznaczony do rozbiórki, o czym informowała nalepiona na drzwiach kartka z urzędowymi pieczęciami. „Wstęp wzbroniony. Grozi zawaleniem” – wołał ponadto wielki napis nabazgrany na murze i ozdobiony trzema wykrzyknikami.

Popielski wiedział doskonale, że pieczęcie mogą być sfalszowane, a sam napis może być zaporą przed wścibskimi. Nieraz widział, jak wrocławscy Niemcy opatrują swe domostwa napisem „*Achtung Typhus!*”, łudząc się, że nazwa strasznej choroby uchroni ich i ich córki przed Rosjanami. Wiedział też, że zignorowanie ostrzeżenia może być niebezpieczne, i to z całkiem innego powodu. Takie kamienice były bowiem często zamieszkiwane przez ludzi, którzy nie wahali się przepędzić obcych nie tylko złym słowem, ale i nożem lub nabijaną gwoździami pałką. Nie miał jednak wyboru – ta stara kamienica była jedynym dobrym miejscem, skąd bez ryzyka zdekonspirowania można było obserwować całe podwórko. Po wejściu do bramy od razu poznał po czysto utrzymanych schodach, że znalazł się na zamieszkanym terytorium. Starał się zatem nie wchodzić nań zbyt daleko, by nie drażnić gospodarzy tego miejsca. Stał na samym progu, ukryty za lekko uchylonym skrzydłem drzwi. Patrzył przed siebie, a nasłuchiwał tego, co miał za plecami. Przez godzinę niczego nie słyszał, co go specjalnie nie zmartwiło, i niczego nie widział, co go bynajmniej nie cieszyło.

W końcu, kiedy w pobliskiej Państwowej Fabryce Chleba na ulicy Sienkiewicza zaryczała tuba, oznajmiając koniec pierwszej zmiany, na podwórko weszła piękna panna, którą śledził dziś od momentu, kiedy opuściła pobliskie i jedyne zresztą wrocławskie liceum. Miała nie więcej niż szesnaście–siedemnaście lat. Była niezwykle wiotka i wysoka. Kiedy przechodziła obok jego punktu obserwacyjnego, spojrzała szybko na wałący się budynek i zaraz cofnęła wzrok. Popielski w jej wielkich ciemnych oczach dostrzegł niepokój i niepewność. To dodatkowo utwierdziło jego podejrzenia co do mieszkańców tego przeznaczonego do rozbiórki domu. Dziewczyna musiała nie raz i nie dwa doświadczyć ich zaczepek. Jeśli ktoś tu mieszkał, nie byli to na pewno członkowie kółka różańcowego z pobliskiego kościoła Świętego Idziego.

Dziewczyna olśniła Popielskiego swą młodością i harmonijną budową ciała. Granatowy mundurak licealny spływał po wąskich ramionach, a spódnica po

kształtnych biodrach. W swym czystym i świetnie dopasowanym uniformie wyglądała, jakby ją żywcem przeniesiono ze szczęśliwych lat przedwojennych.

Mięśnie szczupłych łydek zadrgały, gdy wspięła się na palce i wysypała zawartość swojego kubła na górę innych odpadków wypływających z przepelnionego śmietnika. Potem, broniąc się przed smrodem, zacisnęła na aksamitnym nosku swe długie palce i zniknęła z podwórka równie szybko, jak się tam pojawiła. Wróciła do kamienicy, w której – o czym doskonale od rana już wiedział – mieszkała wraz ze swoją dużo starszą siostrą. Uroda śledzonej dziewczyny wprowadziła ścisły umysł Popielskiego w osobliwy stan poetyckiego uniesienia. W myślach przyrównał ją do trzciny. Szybko jednak zdusił ochotę do poetyzmów i zganiał się za zachwyt, jakiemu chwilowo uległ. „Może to właśnie ona jest ubecką donosicielką z Gimnazjum Podziemnego” – przekonywał sam siebie. Młodość i uroda nigdy nie były gwarancją moralnej czystości.

Drgnął. Usłyszał hałas gdzieś z tyłu. Tuż obok niego zadrżały schody. Mali chłopcy zbiegli szybko, waląc z całej siły buciorami o stopnie. Minęli go obojętnie i rzucili się na kupkę śmieci, którą usypała dziewczyna podobna do trzciny. Byli ubrani w brudne i zbyt duże kapoty. Połatane kaszkiety przykrywały ich głowy, a strupy i niezagojone rany oblepiały ich chude nogi. Popielski znał dobrze takie dzieci ulicy, zdziczałe sieroty wojenne, które uległy już tak silnej zwierzęcej degeneracji, że żyły tylko w zhierarchizowanych stadach, gotowe uciekać przed silniejszymi lub kąsać i atakować słabszych.

Podszedł do chłopców i posłał im swój najszczęśliwszy uśmiech. Ci najwidoczniej natychmiast zaliczyli go do pośredniej grupy – ani silnych, ani słabych – bo wprawdzie uciekli ze śmietnika, ale niezbyt daleko, i natychmiast zaczęli go obrzucać obelgami.

– Ty chuju połamany! – wrzeszczał jeden z nich, który napychał kieszenie czymś, co znalazł wśród śmieci wysypanych przez dziewczynę.

– Ty łachmyto! Wypierdalaj z naszego rewiru!

– Won stąd, dziadek! – darł się następny. – Bo mój brat ci kulosy połamie!

– Co zęby suszysz, pedale?! – naigrawał się kolejny, a po chwili zaczął drzeć się na całe podwórko: – Ludzie, ludziska kochane, pedał jakiś, dzieci zaczepia!

– Co jest?! – ryknął jakiś gruby głos z okna kamienicy. – Co to za krzyki?! Ten stary to pedał?!

Popielski opuścił podwórko wśród wrzasków i szyderstw. Chciał uniknąć nie tyle zaciekłości uliczników czy pięści właściciela grubego głosu, ile pięknych oczu dziewczyny, która w każdej chwili mogła wyrzeć przez okno zaintrygowana hałasem. Wiedział, że jeszcze będzie ją śledzić, i nie chciał zostać zdemaskowany przedwcześnie.

Nie uciekł jednak daleko. Wszedł do ostatniej kamienicy na Przeskoku, przeszedł przez nią na tyły, po czym, usunąwszy wiszącą na jednym gwoździu sztachetę, wszedł na kolejne podwórko, z którego można było wejść do walącego się domu, gdzie mieszkali chłopcy i gdzie on sam przed chwilą miał swój punkt obserwacyjny. Wlazł przez okno na parterze, stanął znów na swoim dawnym miejscu, za skrzydłem drzwi, i czekał z nadzieją, że mali śmieciarze wrócą do meliny. Tak się też stało. Kiedy go mijali, Popielski wyskoczył z rykiem „*Stać, łobuzy!*”. Chłopcy na chwilę zamarli, po czym rzucili się po schodach do ucieczki. Chwila zawahania jednak Popielskiemu wystarczyła. Chwycił za kołnierz paltota jednego z nich, tego, który wcześniej jakimś śmieciem napychał kieszenie. Szamoczące się ciało zrzucił ze schodów. Dopadł chłopca i szarpnięciem wolnej ręki wywrócił jego kieszenie. Wysypały się z nich niedopałki papierosów i jakieś buteleczki, które się rozbiły o granitowy próg z mozaiką „*Cave canem*”. Takie szklane pojemniki Popielski widział już wielokrotnie.

Schwytany sypał przekleństwami i próbował się wyrwać. Chciał starym sposobem wywinąć się jak piskorz, uwalniając ręce z rękawów paltota, ale to mu się nie udało, Popielski nie bawił się bowiem w żadne subtelności i chwycił malca wprost za tłuste strąki włosów. Kiedy ten zawył z bólu, stary policjant zerwał mu szalik z szyi i wepchnął mu między zęby.

– Skąd wzięłeś te buteleczki? – zasyczał wprost do ucha łobuza. – Z tych śmieci, co ta lala wysypała?

Ulicznik kiwnął głową. Wtedy Popielski go puścił. Zahuczały kroki na schodach i ucichły gdzieś na wysokim piętrze domu.

Stary policjant podniósł z ziemi rozbite buteleczki apteczne. Ostrożnie, by się nie skaleczyć, złożył resztki jednej z nich i przeczytał łaciński napis.

Znał już tajemnicę dziewczyny podobnej do trzciny. Fryderyka Paśławska, piękna uczennica klasy maturalnej liceum ogólnokształcącego i słuchaczka tajnych

kompletów profesora Stefanusa, wyrzuciła do śmieci fiolki po morfinie – jednym z najbardziej deficytowych towarów w mieście.

Nie miał zielonego pojęcia, czy morfinistką jest panna Paławska, czy jej jedyna krewna, trzydziestoletnia siostra Wanda, czy też jeszcze ktoś inny z jej otoczenia. Obojętne mu zresztą było, czy licealistka albo ktoś jej bliski cierpi fizycznie lub psychicznie tak mocno, że musi bólem swój koić morfiną. Był natomiast pewien, że za cudowny narkotyk, który niezawodnie łagodził cierpienie ludzi chorych i na ciele, i na duszy, można było kupić we Wrocławiu wszystko. Również lojalność młodej uczennicy.

W jednej chwili przypomniał sobie, że niedawno czytał w prasie o trudnej sytuacji wrocławskich aptek. Chorzy nierzadko byli odprawiani z kwitkiem przez aptekarzy, kiedy nie mieli ze sobą buteleczek, w które nalewano mikstury. Dlatego większość ludzi nigdy nie wyrzucała pojemniczków, a jeśli już te znalazły się na śmietniku, to natychmiast padały łupem śmieciarzy, którzy sprzedawali je aptekarzom. Wystarczyło kilka, by śmieciarz zbierał na papierosy. Popielski spojrzał na niedopałki, które się wysypały z kieszeni chłopca, i na szklane okruchy, za które ulicznik już nigdy niczego nie kupi.

Wyjął z kieszeni ledwo rozpoczętą paczkę dobrych papierosów, Bułgarskich, które kupił kilka dni temu spod lady w sklepie Społem. Ciężko sapiąc, wszedł po schodach i położył je na podeście pierwszego piętra. Patrzył w górę klatki schodowej, ale zadymiony czarny świetlik prawie nie przepuszczał światła.

– Ty, młody! – krzyknął w ciemność. – Masz tu papierosy w prezencie! Pierwszorzędne!

Nie usłyszawszy odpowiedzi, zszedł ze schodów. Kiedy zamykał bramę od strony podwórka, usłyszał jakiś szelest. Na drugim piętrze przy otwartym oknie stał chłopiec i z drwiącym uśmiechem rzucał na ziemię podarowane sobie papierosy. Potem rozpiął rozporek. Niektóre z długich strug jego uryny zmoczyły pierwszorzędne papierosy Bułgarskie rozsypane na klepisku podwórka.

Popielski patrzył na to z oddalenia i dobrze rozumiał nienawiść młodego ulicznika.